Ner 26. Kraków, 1go Lipca. 1861.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

NIEWIASTA.

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie,** Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

ZWIADY
LITERATUR I SZTUK PIĘKNYCH.
Pogadanki w dziedzinie estetyki.

I.
Słowo o estetycznem wychowaniu.

Między licznemi życzeniami, które nas odnośnie do kwestyi wychowania kobiecego napełniają, rozszerzenie i wykształcenie smaku estetycznego pań i panien naszych jedno z pierwszych miejsc zajmuje. Dobre i trafne poczucie piękności, gust wielostronny i głęboki: to jedna z najsilniejszych moralnych rękojmi życia, jeden z najsilniejszych szańców przeciw skrzywianiu i zmanierowaniu uczucia, przeciw licznym chorobom serca i fantazyi; to potężny kamerton dla ustalenia tej harmonii wewnętrznej, której panowania w sercach niewiast naszych usilnie żądamy. Piękność jest tak koniecznym warunkiem zdrowia duszy, jak rosa zdrowia i woni kwiatu, a dusza niewieścia potrzebuje jej jeszcze bardziej niż męzka. W tej enigmatycznej duszy albowiem niemasz rozbratu między rozumem i uczuciem, między fantazyą a wolą; w bliskiem sąsiedztwie i ciągłem wzajemnem oddziaływaniu żyją wszystkie jej siły razem, a do dobrego ich prowadzenia trzeba magnetyzmu, że tak powiem ducha, trzeba ciągłego żywiołu zadawalniającego to pragnienie wewnętrzne, które szlachetną duszę kobiecą napełnia tęsknotą za tem, co nieskończone, co nieśmiertelne, co wieczne. Takim żywiołem jest religia — takim żywiołem jest sztuka. Modlitwa i piosenka, żywoty świętych i romanse rycerskie, toć były odwieczne pokarmy duszy kobiet średniowiecznych, pokarmy różnorodne, bo jeden duchowny, drugi świecki, ale pomimo tego do jednego dążące celu, bo do nadania tej swobody i harmonii, której duch niewieści koniecznie potrzebuje aby działać dobroczynnie na ludzkość. Dzisiaj rozwielokrotnił się ich pokarm estetyczny, często nawet oskrzydlił i zmógł ważniejszy religijny kierunek: miejsce piosnek przy lutni i romansów rycerskich zajęło urzędowo w skład edukacyi wchodzące trudnienie się sztuką i literaturą nadobną. Czy jednakże to trudnienie się zawsze dobre przyniesie owoce, czy sztuka i literatura tak bywa udzielaną i podawaną, aby stała się rzeczywistą pożywną karmą duszy, to pytanie na które trudno twierdząco odpowiedzieć.

Przyczyną tego chybienia korzyści z wspomnianych edukacyjnych artykułów jest niezawodnie nie co innego, jak dziwna powierzchowność estetycznego wychowania. Sztuka i literatura stały się u kobiet artykułami toalety, kosmetykami duszy, jednym środkiem przynęcania — więcej: a celem ich ostatecznym jest zewnętrzne roztoczenie nabytych talentów i wiadomości, popisanie się niemi i zadowolenie próżności własnej i osób interesowanych. Często są one zajęciami należącemi do dobrego tonu familii, zajęciami dystyngwowanych i bogatych, zajęciami mody. Często nareszcie są prostem lekarstwem na nudy, nudy koniecznie wypływające z braku wewnętrznych zasobów.

Ta powierzchowność estetycznego wychowania niszczy naturalnie wszelkie jego korzyści. Zrobiono powszechnie uwagę, jak kobiety poszedłszy za mąż, obumierają dla swoich zatrudnień panieńskich, jak zarzucają fortepian, paletrę, książkę, oczywista rzecz, że nie dla czego innego, jak dla tego, że niebyły ich wewnętrzną potrzebą. Ztąd te owe idealne panny, wychodzące z czasem na najprozaiczniejsze mężatki; ztąd owe poetyczne sylfidy i zaczarowane księżniczki, z których potem robią się zrzędne, nudne, niesmaczne gospodynie, ciążące na pożyciu domowem całym nawałem prozy, obumarłe dla wszystkiego, co nie jest materyalizmem. Ich poetyczność była świecącym fajerwerkiem dla zdumionych widzów, i zgasła, skoro widze odeszli.

Jeżeli zatem chodzi nam o to, aby kobieta przez całe życie stała na piedestale podniosłości uczucia i myśli; jeżeli nam chodzi, aby odebrawszy los, czyli mówiąc po prostu, poszedłszy za mąż, była mężowi moralnem uzupełnieniem, była mu skarbem wiecznie świeżych i szlachetnych uczuć, aby go podtrzymywała w jego działaniu dla dobra spółeczeństwa ciągłem zrozumieniem i współczuciem dla prac i usiłowań jego: to musimy koniecznie żądać, aby miała dość wewnętrznego życia, dość zasobów idealnych, wystarczających nietylko na krótki moment wystąpienia przed światem, ale na całe życie. Tych zasobów zaś nabierze przedewszystkiem przez estetyczne wychowanie. Religijność utrwali w niej święte obowiązków poczucie: estetyczność poda jej skrzydła, które jej niedozwolą upaść pod nawałem rzeczywistości, podtrzymają ją na wzniosłem stanowisku moralnem, ułatwią jej wypełnienie dobrego, bo dobre jest zarazem i pięknem. Pan Bóg zesłał piękność na ziemię jako anioła pocieszyciela, aby trudy życia ubierał w blaski nieba, aby każde poświęcenie i cnotę ubrał w nieśmiertelne blaski przyszłego zmartwychwstania.

Wejdźmy w lekturę naszych kobiet, i przekonajmy się na jakiej dusze ich wychowują się strawie. Na pierwszym planie znajdziemy naturalnie romanse, romanse które pomimo zapewnień dziennikarzy o ich małym kredycie, zawsze i zawsze najbardziej są poszukiwane. Czytać romanse, szczególniej świeże, należy tak do mody, jak noszenie świeżych mantylek; znać je, jest to być *au courant* literatury. Przeszła wprawdzie, chwała Bogu, większą częścią kołowacizna romansów francuskich i

angielskie weszły w modę. Niejesteśmy purytanami pod względem romansów i nie kładziemy ich pod anatemat: chcielibyśmy tylko, aby się nie na romansach kształcił gust estetyczny naszych kobiet, aby zajęcie ich literackie niepolegało na przepytlowaniu licznych tomów na żółtych i zielonych okładkach, które niebudzą innego żądania, jak doczytania się końca.

Literatura polska, chwała Bogu, należy ile wiemy, do edukacyjnego punktu honoru. Z świecą dziś szukać panny, coby nieznała Mickiewicza i naszych głównych poetów, a są takie, co ich znają głębiej, wnikają w ich tajemnice narodowe. Ale u większej części niebudzą te utwory tego zajęcia, które prowadzi do ciągłego z niemi obcowania, które czyni książkę towarzyszką życia. Często przywiązanie do arcydzieł naszych pochodzi więcej z obowiązku niż rzeczywistego poznania ich wartości, a szanowna czytelniczka nie umie sobie w gruncie zdać sprawy, dla czego kilka tomików Adama więcej warte od milionów romansów, które przecie tak zabawne, i które ona tak łakomo czyta. Często nareszcie młoda czytelniczka wybiera sobie z niwy piśmiennictwa naszego jeden kwiat, który nie dla tego jej przypadł do smaku że najpiękniejszy, ale że się zrósł z jakiemś miłem wspomnieniem jej młodej duszy. Ztąd znowu pochodzi, że nasza poezya zamiast być zdrowym pokarmem, podsyca często sentymentalizm i egzaltacyą fałszywą, podczas gdy zrozumiana dobrze, pojęta po należytem przysposobieniu, stać się może prawdziwym skarbem moralnym.

Gorzej się dzieje z literaturą zagraniczną. Uczenie się obcych języków stało się dziś powszechnem: ale myliłby się ten, coby myślał, że prowadzi do poznania literatur. A przecież dla czego innego niewarto się uczyć obcego języka. Spytajmyż się naszych gallomanek, czy poznały z literatury francuskiej to co warte poznania? spytajmy się umiejących po niemiecku i angielsku, czy znają Szyllera, Göthego, Miltona, Byrona, Szekspira? Znajomość języków ma za cel mówić niemi choć się bez tego obejdzie, i czytać ostatnie, często dwuznacznej wartości utwory, bez których się także obejść można. Skarby prawdziwe zostają w ziemi, pod niedoświadczonemi stopkami, ktore tylko po kwiatach chodzić lubią.

Niech nikt nie myśli, abyśmy nasze kobiety chcieli forytować na sawantki. Chcemy tylko, aby jeśli mają sobie głowy smażyć, brały ziarno a nie plewy, odnosiły korzyści a nie straty. Chodzi nam o to, aby wychowanie estetyczne kobiet prowadziło do poznania prawdziwej piękności, prawdziwego dobrego gustu, który ma tę właściwość, że niezależy od czasu i postępu, jak mody i romanse. Chodzi nam o to, aby je przyprowadzić do tego punktu widzenia piękności, z któregoby potrafiły rozróżnić prawdziwą, monumentalną estetyczność od tego szychu tuzinkowych świecideł, któremi literatura codzienna napełnianą być musi. Aby poznawszy piękność, uchroniły się od wszelkich bryków złego gustu, sentymentalnego mazgajstwa i niebezpiecznego a fałszywego naprężenia uczuć, na które przez złą lekturę są narażone. Chcemy nareszcie, aby raz poznana prawdziwa piękność stała się dla nich prawdziwym skarbem życia.

Chcąc poznać piękność, trzeba być nieuprzedzonym, jak powiedział Göthe. Trzeba mieć bierność czystego jeziora, w którem się niebo i chmury zwierciedlą, powiewność drzewa, w którem wiatry grają. Do piękności dochodzi się często przez długie obłędy zmanierowanego i spaczonego gustu, fałszywych zachceń i wyobrażeń. Często się w tych obłędach ginie jak w labiryncie. A jednak tak dużo na tem zależy, aby dojść do jej poczucia. Tylko doszedłszy do jej poznania, do tego wysokiego dobrego gustu, można stanowczy z nią zawiązać stosunek — można mieć z nią przyjaźń całe życie. Tylko wtedy zamiłowanie w niej staje się źródłem nieskończonego wewnętrznego zadowolenia, cienistą i wonną oazą w burzliwej Saharze życia. Wszelka zatem chorowita poetyczność, marzycielstwo, uczuciowanie spaczone, wszelka rozbujała fantastyczność nie jest jeszcze wcale usposobieniem, w którem piękność poznać można. Piękność jest zdrowiem, prawdą, naturą, tylko oszkloną barwami innego świata, przeduchownioną idealizmem, dotkniętą twórczością, najwspanialszym udziałem ludzi, bo spólnym z samym twórcą. Piękność jest przytem poważną i uroczystą; niezna tandetnych świecideł i upiększeń — niezna kokieteryi płaskiej tych wszystkich pseudoładnych rzeczy, które co moment napotykać się dadzą. Ale z tej samej przyczyny sprawia ona nie przemijającą przyjemność, ale rozkosz prawdziwą i ciągłą.

(D. c. n.).

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

Ażeby postać Maryi Leszczyńskiej należycie uwydatnić i postawić ją na takim świeczniku, z któregoby nasze niewiasty zapatrując się, ten cichy, łagodny, chrześciańsko-polski charakter ocenić, i z niego budującego przykładu zaczerpnąć mogły, potrzeba się nam cofnąć aż do czasów bezkrólewia po Janie III, i do obioru Augusta IIgo królem, w którym to czasie ojciec jej Stanisław Leszczyński na widownią polityczną występować zaczyna. Przekonamy się, że przejścia bolesne króla ojca, jego los tułaczy, niezmierny wpływ miały na rozwinięcie wysokich przymiotów duszy Maryi, jak również na całe jej usposobienie późniejsze, już jako żony Ludwika XV, króla Francyi. Na tem albowiem wysokiem miejscu stojąca potężnego monarchy żona, jest przecie zawsze tylko Maryą, polską bogobojną niewiastą śpiewającą przy codziennych ręcznych robotach psalmy Kochanowskiego. Nie zaślepiona blaskiem najwyższego znaczenia, do którego z urodzenia nie była przyzwyczajoną, reprezentuje jednak swobodnie i uroczyście godność polskich obyczajów i polskiej narodowej moralności, a odrzucając ścielącą się jej pod stopy władzę rządu, pokazuje posłuszeństwo radom ojca i bojaźń boską, żeby nie wpaść w niebezpieczny wir potęgi mogącej sprowadzić najpoczciwsze serce na bezdroża występku i samowoli. Z wielu względów więc obchodzi nas żywo i jako wzór służyć nam może Marya Leszczyńska; — jako Polka na tronie wierna zawsze ojczystej ziemi, której zapomnieć nie mogła, pomimo że ją w 6tym roku życia swego opuściła; jako królowa francuska, która mogłaby ster rządu opanować i tym sposobem nie pomału wpłynąć na losy Polski, zwłaszcza z powodu pretensyj ojca do korony polskiej; a potem jako niewiasta bogobojna, czyniąca prawie nad możność dla ludzkości, wreszcie jako żona i matka.

I.

Po śmierci Jana III, który nadarmo usiłując ład zaprowadzić w rzeczypospolitej i we własnym domu, zgryziony zasnął na wieki, otworzyło się nowe pole zabiegom licznych stronnictw o wakującą koronę. A było ich wiele i różnego rodzaju; każde z nich forytowało swego kandydata pochwalami, hojnością i obietnicami

złotej przyszłości. Tą razą stanęło dziewięciu kandydatów: 1) synowie zmarłego króla Jakób i Aleksander, (Konstanty był jeszcze zbyt młody); 2) Książę Konti (Franciszek Burbon), kuzyn Ludwika XIV króla Francyi; 3) Książę Karol Neuburg; 4) Elektor bawarski, zięć Jana III; 5) Książę Leopold Lotaryngski; 6) książę Ludwik Badeński; 7) Don Livio Odescalchi, synowiec papieża Innocentego IX; i 8) Fryderyk August elektor saski. Największe prawo przynajmniej starania się miał za sobą królewicz Jakób, ba nawet był tronu już dość pewny, skoro sobie gwardyom na zamku w Warszawie na wierność przysięgać kazał; lecz niestety w skutek poróżnienia się głównie o skarby po nieboszczyku królu, taką zawziętością zawrzała królowa matka na syna, że nietylko tegoż poważnym senatorom odradzała od obioru, ale nawet na sejmie konwokacyjnym 1696 w namiętnem uniesieniu te słowa wyrzekła do zgromadzonych: „aby żadnego z jej synów, a mianowicie królewicza Jakóba na tron nie wynieśli, gdyż inaczej Polska zginie...“ Można powiedzieć że najwięcej się przyczyniła do pominięcia Jakóba, który pomimo protekcyi dworu wiedeńskiego nic wskórać nie mógł. Na sejmie bowiem elekcyjnym r. 1697, otwartym pod laską marszałka Bielińskiego podkom. koronnego (któremu Stanisław Leszczyński starosta odolanowski dobrowolnie laski ustąpił), poseł cesarski podający na kandydata Jakóba, swoją niezręczną wymową tylko oburzenie wzbudził i dokończył tego, co niedobra matka zaczęła. Poseł francuski de Polignac opat de Bonport, w drukowanych mowach wielce zachwalał księcia de Conti, obiecując w jego imieniu wiele ulepszeń organizacyjnych, i za nim skłaniała się liczna partya i sam prymas Radziejowski marszałek sejmowy. Również elektora bawarskiego polecał Jabłonowski hetman w. koronny, a za Ludwikiem Badeńskim mówiła sława wojenna, chociaż odstręczały obojętność w wierze i brak bogactw. Odescalchi tylko śmiech wzbudził *). Byłoby więc zwycięztwo po stronie ks. Conti, gdyby nie dzielne starania się Fleminga za Fryd. Augustem i tegoż prawdziwie ponętne obietnice, a najprzód: 1) odzyskanie Kamieńca podolskiego wojskiem saskiem; 2) wyliczenie 10 milionów złp. (talarów) zaraz po sejmie gotówką; 3) przywrócenie do korony Wołoch, Multan, Ukrainy i wszystkich oderwanych krajów; 4) poprawa monety i twierdz, założenie szkoły rycerskiej itd. i oddanie rządów Saksonii swemu następcy. Nie będziemy tu obszernie przytaczać intryg Polignaca przeciw obiorowi Augusta, jego odwoływania się na tegoż kacerstwo, jego groźb nawet — bo były to wszystko knowania, w których prawie wszystkie partye maczały ręce, wyjmując je ztamtąd niekoniecznie czyste — to tylko powiedzieć trzeba, że głębsze tam było źródło wzajemnych chęci szkodzenia sobie. Francya bowiem prowadząca naówczas wojnę z Austryą nad Renem, chciała przez sprzymierzonego sobie króla polskiego dywersyą tejże robić; z drugiej strony Austrya życzyła także z tej przyczyny przychylnego sobie książęcia widzieć na tronie polskim; naokoło tych dwóch mocarstw dopiero grupowały się znowu interesa innych mniejszych i większych; tak ważnym i europejskim wypadkiem była elekcya króla polskiego. Za wybranego Augusta zaprzysiągł Fleming pacta conventa, a w parę tygodni potem koronował się elektor w Krakowie, wyznawszy uroczyście wiarę katolicką. Wprawdzie Warszawa była jeszcze w ręku stronników ks. Conti, bo prymas Radziejowski popierający partyą francuską, ogłosił Conti'ego królem, ale gdy tenże wkrótce potem przypłynąwszy pod Gdańsk, gotowego przyjęcia o jakiem myślał, nie zastał, — niedbając o koronę połączoną z takiemi trudami, nazad powrócił.

Tak więc został August II, pan młody, piękny, wspaniały i rycerskiego animuszu, królem polskim. Rzeczpospolita obiecywała sobie wiele po jego wielkich dziedzicznych bogactwach, po jego za granicą uzyskanej sławie wojennej, i po jego szumnych a krajowi korzystnych przyrzeczeniach (pacta conventa), uroczyście zaprzysiężonych. Jakkolwiek niemieccy pisarze stawiają go wyżej Juliusza Cezara i Aleksandra Macedońskiego, jakkolwiek posiadał August wiele osobistych przymiotów, któreby zdołały były każde inne dobrze uorganizowane państwo uszczęśliwić, to przecie sławiona wspaniałość jego i hojność stała się w Polsce tylko powodem moralnego zepsucia i rozpasania, jego bogactwa dziedziczne źródłem prywatnych zbytków a nawet uciemiężenia Rzeczypospolitej, (trzymaniem licznego wojska saskiego w kraju), a jego chęć wojownicza powodem długich nieszczęsnych wstrząśnień, tak iż nie podniosłszy w niczem szczęśliwego bytu kraju, sprowadził go raczej do stanu upadku i małoznaczenia w oczach Europy, tworząc tym sposobem znowu jeden z smutnych aktów narodowej tragedyi. Chęć też głównie odznaczenia się obok obowiązku dotrzymania zaprzysiężonych paktów, skierowała oczy Augusta na Szwecyą, w której ośmnastoletni Karol XII, do tego według zdania ówczesnych nic wielkiego nie rokujący, dopiero co na tronie zasiadł. Nie będziemy tu skreślać stosunków wewnętrznych państwa, burzenia się szlachty i intryg Sapiehów na Litwie, w ogóle całego stanu rzeczy za panowania Augusta; wojna tylko szwedzka, zachowanie się Karola XII, jako mające ścisły związek z Stanisławem Leszczyńskim, ojcem Maryi, obchodzić nas będzie. Jużto zetknięcia się Polski ze Szwecyą rachując od Zygmunta IIIgo, nigdy szczęścia tejże nie przyniosły, plątając ją w ciągłe wojny i niesnaski, których można było doskonale uniknąć. To też i tą razą nieszczęsny był zjazd Augusta II z carem Piotrem w Rawie ruskiej r. 1698. Tam bowiem poprzyjaźniwszy się monarchowie, postanowili Szwecyi Ingryą i Inflanty odebrać, o których ostatnich miał August pewne nadzieje, że zaraz za ukazaniem się jego szlachta inflancka niezadowolona z rządów szwedzkich jeszcze od pokoju oliwskiego, po jego stronie stanie. A w tem mniemaniu najbardziej utwierdził go szlachcic inflancki Jan Reinhold Patkul. Ciekawy jest memoryał podany przez tegoż królowi — gdzie obok znajomości Inflant, ówczesnych dworów i sposobu prowadzenia wojny, podana jest także rada, aby król bez przyzwolenia sejmu rzeczypospolitej wojnę rozpoczął, a to dla tego, iżby ta w zbieraniu wojsk i zawojowaniu Inflant nie upatrzyła dążności do samowładzy (sonverainété), i przeto przedsięwzięciu przeszkodzić nie chciała. Niecierpliwy August rozpoczyna bez wypowiedzenia wojny kroki zaczepne w Inflantach, mianowawszy Patkula dowódzcą.

Młody król szwedzki w niemałych był opałach, bo trzech potężnych mocarzy sprzysięgło się przeciw niemu: Car Piotr, Frydryk August i Frydryk IV duński, pragnący odzyskać kraje pokojem w Kopenhadze zawartym stracone. Atoli pycha i chytrość trójcy wkrótce ukaraną została, a przynajmniej zasłona z oczu im spadła, gdy ujrzeli młodego króla z energią i siłą lwa podnoszącego się przeciw oburzającemu najazdowi.

Fleming i Patkul oblegający niedołężnie i nieostrożnie Rygę przez dwa miesiące, dali czas królowi ściągnąć posiłki z Finlandyi, i nim się dobrze opatrzyli, już musieli od oblężenia odstąpić.

*) Podając się na kandydata, ofiarował piękne starożytne malowidła.

Sam albowiem Karol postanowił uwolnić się od Duńczyków, którzy w pokrewnego jego księcia Holsztein-Gottorp państwo wtargnęli, a tak się umiał do nich zabrać i z niemi uwinąć, że rozpoczęli negocyacye pokojowe, a wkrótce już w 1700 zawarli z nim w Trawendal pokój. Dopiero całe swoje siły obrócił przeciw Augustowi, do czego mu wielce dopomogło zachowanie się stanów inflanckich, bo te pomimo że dotychczas zawsze i wszędzie przywódzcą Patkula miały, teraz na groźne zapytanie Karola czy są z nim w związku, uroczyście manifestem wszelkich związków z tymże się wyparły. August stał naówczas w Inflantach z swemi Sasami, z Litwą pod wodzą Sapiehy, z kilkoma pułkami polskiemi, i z 1200 sprzymierzonych Tatarów. Nie na rękę był mu zawarty pokój w Trawendal, jakoteż dziwne opóźnienie posiłków przyobiecanych przez cara Piotra, i dla tego cofnął się 15 mil od Rygi do twierdzy Kockhausem; lecz i nadejście potężnych posiłków moskiewskich pod Narwę, niewiele mu pomogło, bo stoczona tam bitwa była całkowicie na korzyść dzielnego Karola, który ośmioma tysiącami pobił 80,000 Moskali *). August znalazł się nagle w nader kłopotliwem położeniu, rozpocząwszy albowiem wojnę przeciw woli senatu rzeczypospolitej i bez zwołania sejmu, nietylko nie mógł się żadnych posiłków ztamtąd spodziewać, lecz przeciwnie musiał słuchać skarg i żądań wydalenia wojska saskiego z kraju, które to wojsko miało mu służyć kiedyś za środek przeprowadzenia swych planów, to jest wywrócenia formy konstytucyjnej a nadania monarchicznej, i zapewnienia swojej rodzinie sukcessyjnego tronu w Polsce.

Tak dalece zaś nie miał August poparcia ze strony Rzeczypospolitej widzącej w tej wojnie swą zgubę, a pamiętającej dobrze Szwedów za Jana Kazimierza, że zamiast posiłków żądali od króla oddania napowrót tych dział, które rzeczypospolitej darował, a które w rozpoczętej wojnie w Inflantach zatracił, na co im August miał odpowiedzieć, że im temiż działami da odpowiedź.

Pomimo tych wszystkich przeciwności, August wiecznie niestały i niezdecydowany, równocześnie prawie stara się o pokój za pośrednictwem Cesarza, i nowo koronowanego bez zezwolenia rzeczypospolitej królem pruskim, Frydryka Igo, a zarazem traktuje znów w Birżach z carem moskiewskiem, który mu pomoc w znacznych summach pieniężnych i 20,000 ludziach przyrzeka. Przymierze to powtórne zaczepne i odporne, dwóch tych ludzi podobnych sobie zamiłowaniem w zmysłowych rozkoszach i zbytkach, miało ściągnąć wielkie klęski na nieszczęśliwą Polskę, lecz nie podsyciło na razie niczem zagasłej gwiazdy Augusta. Wojsku saskiemu rzeczywiście ustąpić kazał, lecz przyobiecana pomoc rzeczypospolitej skończyła się na nurtujących i wichrzących partyach na Litwie Ogińskich i Sapiehów, którzy ostatni też Karola strony się chwycili.

(C. d. n.)

KWIATY.

Kiedy słońce wschodzi rano, a dzwon z wieży ze snu woła,
Lubię ja z myślą wiośnianą bujać jak motyl dokoła.
Lubię położyć się w cieniu, schylić się pomiędzy trawy,
I w drgającym z drzew promieniu żyć życiem kwiecia,
(murawy.

*) Frydr. Förster.

Nademną chyli się dzwonek, róża nad głową się chyla,
A pośród liści koronek, pada cień skrzydeł motyla.
Z jednej łodygi, macierzy, tulą się dwa wierne bratki,
Wśród ostróż, w hełmach rycerzy, skromne jak panny
(bławatki.
Żółta dziewanna, marząca o czasach gdy była boginią,
Kwiecistą w górze i wonną sklepią się dla mnie świątynią.
A muszki brzęcząc swawolnie i przedrzeźniając słowikom,
W świątyni pogody letniej nadworną są moją muzyką.

A kiedy serce mnie boli burzami świata targane,
To kwiaty litując mej doli, wonnistą wystawią mi ścianę,
I szepczą mi słowa miłości, co dzieły włada bożemi,
Abym na skrzydłach mej duszy uleciał ku niebu od ziemi.
I mówią: jak anioł przyrody co wieczór na skrzydłach
(swych spływa,
I polską ziemię w czar wiosny i w piękność tęsknoty
(odziewa;
Hoduje kwiaty na grobach, i w czaszy z kryształu świecącej
Niesie ku niebu krew naszą i łzy boleści gorącej...

I mówią mnie kwiaty na łące, że Pan Bóg co rządzi na niebie,
Pamięta o każdym z osobna, o ptaków i muszek potrzebie;
Że bez Chrystusa woli włos z głowy człeka nie zleci,
Że pomni biały Pan Jezus na ptaszka, co gniazdo swe kleci,
A kiedy zseła burze, to jeno, by w burzy skąpana,
Piękniejsza ziemia, w pokorze do stóp rozsłała się Pana!

Wtedy mnie lżej na duszy, a rzewność boleścią owłada,
I oko łzawe z za kwiatów na wieżę kościołka pada,
Co po nad stare lipy, by pielgrzym w szarym habicie,
Krzyż trzyma ku niebiosom, i mówi: W tym krzyżu jest
(życie!
Zrywam się z kwiatów pościeli, i idę w kościoła podwoje,
I już nie skarżę mych cierpień, a nowych się nieszczęść
(nie boję.

Józef Szujski.

KUZYNKI.

Powiastka niewieścia

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

Więcej szukaj przymiotów niżeli pozoru.
K. Koźmian.

A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak nam szukać trzeba,
Jako wstydu i cnoty, darów przednich nieba.
Jan Kochanowski.

I.

— Moja matuleczko, jest list z poczty, z X. — wymówiła Natalja, obejrzawszy napis przy lampie w pierw-

szym pokoju, i stanęła w progu sypialni, gdzie pani Żytnicka coś tam w biórku układała swojem.

— Z X.? Przecież to nie jest nic sądowego.

— Nie, mateczko, koperta elegancka, wytłaczana, podpis francuski, a pieczątka herbowa, *Grabie.*

— A! to od pana Sosnowieckiego, nowego dyrektora Towarzystwa kredytowego.

Pani Żytnicka list z rąk córki odebrała, złamała pieczątkę, usiadła przy lampie i czytać poczęła. Uśmiech skrasił jej miłe lubo zwiędłe oblicze, i kładąc arkuszyk welinowy przed siebie, wyrzekła:

— Pan Sosnowiecki zaprasza nas na bal, który wydaje w dniu imienin żony.

— Na ś. Seweryn꞉! — zawołała Natalja i zróżowiała z miłego wrażenia: bal dla panienki, która jeszcze mało ukazała się w świecie, to wypadek naprawdę niemałego znaczenia.

Matka spojrzała na córkę z wyrazem matczynej pociechy. Boć też Natalka ładnem i miłem była dziewczęciem, z tak szczerem a pogodnem ciemnych oczów wejrzeniem, że aż błogie czyniła wrażenie. Twarzyczkę świeżą, nieco śniadawą, po obu stronach dwa niemal czarne zdobiły warkocze; rumiane usta zawsze tak przyjemnym tchnęły wyrazem, odsłaniając dwa rzędy zębów, jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej; nosek miała zgrabny, czoło otwarte, jasne, a brwi mocno narysowane. Średniego wzrostu, szczupła, zgrabniutka, nader wdzięczne odznaczało ją ruszenie.

— Wszakże pojedziemy, mateczko? — zapytała po chwili, pochylając się ku matce.

— Nie wiem jeszcze, moje dziecko — odrzekła matka i po raz drugi popatrzyła się na nią — boć to ze znacznym połączone jest kosztem: tobie cały ubiór jest potrzebny, i ja nie mam stósownej do takiego ubrania sukni i czepka, a zjedzie się tam obywatelstwo zapewne z całego powiatu, i tualety będą wykwintne. Nadto kosztuje podróż i pobyt kilkodniowy w mieście.

— Takbym rada była! — poszepnęła młoda dziewczyna i z uśmiechem proszącym zacisnęła dłonie.

— Zobaczymy. Obliczę się.

Natalja przysunęła krzesło, wyjęła ze skrzyneczki machoniowej białe szycie, i zajęła się robotą. Pani Żytnicka swoją dobyła pończoszkę.

Rozmowa o balu projektowanym potoczyła się dalej, bo o czemżeż innem nateraz mówić by mogły?

— Będzie zapewne ciocia Mijanowska z Idą i Bersią, mówiła Natalja—i ciocia Ryszczyńska z Karolką i Jadzią.

— Oh! zapewne — odrzekła matka.

Pani Mijanowska, jedna z najmajętniejszych obywatelek w powiecie, i pani Ryszczyńska, były sobie rodzone siostry, a ciotecznemi pani Żytnickiej.

— A jakie to Ida i Bersia piękne toalety włożą! Żadna zapewne wykwintniejszej nie będzie miała, i też one będą królowami balu: piękne, w Wiedniu wychowane, majętne.

— Pani Mijanowska z łatwością takim fantazyom dogodzić może.

— I Karolka i Jadzia będą ładnie ubrane, ale już ani tyle kosztownie.

— Bo też państwo Ryszczyńscy takich nie mają dochodów, a są tyle rozsądni, iż żyją stósownie do przysłowia: *wedle stawu grobla.*

Powoli skierowała Natalja rozmowę: jakąby to ona toaletę włożyć mogła.

— To, mateczko droga, nie byłoby tak kosztownem, wymówiła — sukienka tiulowa o trzech spodnicach, każda oszyta trzy razy czarną wąską aksamitką; podobnież powinny być rękawki i stanik przybrane. Na głowie wianeczek pąsowy, takiż bukiecik na piersiach; na szyi czarna aksamitka z bróżką koralową, i na ręku takież braseletki.

— Ot, i strój gotowy! zaśmiała się matka.

— A czy nie byłby ładny, mateczko?

— Wcale niezły.

— Chociaż nie tak wykwintny, bogaty, jak kuzynek Mijanowskich, i nie tak modny jak Karolki i Jadzi.

— Co do stroju twojego, to już i mniejsza, ale mnie wydać się niechce parę set złotych na suknią, która potem poleży sobie. A są tutaj pieniądze na wcale inne wydatki potrzebne. Ludka na pensyi potrzebuje nie jednego, w gospodarkę ciągle wkładać potrzeba, a tu jeszcze wypłata ludziom, podatki — matka westchnęła, a za nią i córka.

Pani Żytnicka była już od lat kilku wdową — a wioska jej, Łąki, niewielkie przynosiła dochody.

Natalja zadumała się smutno: że może będzie potrzeba porzucić nadzieję bycia na balu, gdy na dziedzińcu zatętniało, i lekki turkot zatrzymał się przededworem.

— Ktoś przyjechał! — zawołała Natalja unosząc wzrok od roboty.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna, wysoki, przystojny — brunet do Natalki podobny.

— Staś! — zawołała matka i córka.

— Dobry wieczór, kochana mamo — i przybyły ucałował rękę, witającej go serdecznym wyrazem matki; uścisnął siostrę, która z radością rzuciła się ku niemu.

— Siadaj, chłopcze. Czy wprost z Brzezinek jedziesz? Stanisław dzierżawił w okolicy wieś Brzezinki.

— Nie, mamo, jadę z Żołędzina.

— I cóż tam porabiają państwo Ryszczyńscy, Karolka i Jadzia?

— Pan Ryszczyński ma duszność, ale panie są zdrowe zupełnie, i przesełają ukłony swoje. Czy mama odebrała zaproszenie na bal do państwa Sosnowieckich?

— A jakże, nie zostałam pominiętą.

— I pojedzie przecież mateczka kochana z Natalką.

— Otóż to sęk, miły chłopcze: radabym by Natalka wyhasała się troszkę, a niechcę niepotrzebnych kosztów ponosić.

— Ciocia Ryszczyńska przewidywała to od razu, i właśnie mnie tutaj z tą propozycyą wysłała: by jej mama powierzyła Natalkę, jeżeli nie pojedzie sama.

Natalka zapłonęła nagle.

— Oh, jakżeżbym dziewczę bez siebie, przy pierwszem wystąpieniu w świat puścić miała?

— Toćże byłaby z dwiema ciotkami.

— Tak, to prawda, ale zawsze *bez matki.*

— I ja tam będę. Nadto, nie jest przecie bal publiczny.

— Wszystko to prawda.

— Przeto kochana mamo, decyduj się i pojedź sama, albo też Natalkę oddaj pod opiekę pani Ryszczyńskiej, bo niepodobna, ażeby tak wyborną sposobność pominąć miała.

— Hm! moje dzieci.... — pani Żytnicka zamyśliła się.

Natalja pochylona nad robotą milczała.

— No mateczko kochana! — nalegał Stanisław i pocałował matkę w obiedwie ręce.

— To i niechże już jedzie z panią Ryszczyńską: żal mi kosztów niepotrzebnych dla siebie. Zresztą przecież pani Ryszczyńska swoje ma córki, i pani Mijanowska także.

— I ja tam będę, matko najdroższa.

— Więc mam z ciocią pojechać? — zapytała Natalja, odkładając robotę.

— Staś tak dobrze adwokatował, a ciotka tyle jest względną i dobrą, że i zaraz pamiętała o tobie.

— Ale... żal mi będzie — i dziewczę zasępiło się.

— Czego?

— Że mateczka nie pojedzie.

— Przecieżem ja balu niegłodna, — zaśmiała się matka.

— Tak, wiem... Ale, że to ja bez kochanej mamy pojadę.

— Za to będziesz mi potem opowiadała wszystko.

— Jednakże, smutno mi będzie samej.

— No, no! Powtarzam, że i ja tam będę — wyrzekł Stanisław — a taki braciszek, to nie zero, dzieweczko!

— Czy państwo Ryszczyńscy dziś także zaproszenie odebrali? — zapytała pani Żytnicka.

— Dziś, właśnie w mojej obecności. Panna Cecylja osobny odebrała liścik, zapraszający ją także.

— I pojedzie?

— Pojedzie. Państwo Sosnowieccy mają dla niej wiele szacunku i przyjaźni, i też zaproszenie ich nader zobowiązujące zawiera wyrazy.

— Była razem na pensyi z panią Sosnowiecką.

— Bardzo to dobra, przyjemna i czarowna osoba — wymówił Stanisław.

— Poważam i kocham ją prawdziwie — dodała Natalja.

Panna Cecylja była stryjeczną siostrą pań, Ryszczyńskiej i Stojanowskiej.

— Ida wszelako i Bersia nie powtórzyłyby tego za tobą, jakkolwiek jej bliskie kuzynki — ozwała się matka ze znaczącym wyrazem.

— Bo im przewróciło się w głowach, i nie umieją ludzi podług ich rzeczywistej ocenić wartości— wyrzekł Stanisław z przekąsem.

— I Karolina nie jest dla panny Cecylii jaką być powinna — poszepnęła Natalja.

— Bo ją tamte *grandes dames* także już zbałamuciły: zarozumialstwo, lekceważenie drugich, wyśmieszki, to czysta zaraza. Czcze to istoty, bez serca i umysłu: bańki mydlane tęczowemi barwne farbami, nic więcej! Strój wyszukany, wielkie krynoliny, francuzczyzna, zarozumiałość, obłuda, niedorzeczna pycha, otóż ich przymioty. A wyśmiać i wyszydzić poczciwych, to ich rozrywka... i cecha!

— Chłopcze! zbyt surowy sąd o kuzynkach wydajesz.

— Być może surowy, ale prawdziwy, mateczko. A mówię to tylko do matki i siostry. Szkoda, że Karolka zapatruje się na nie.

— Jadzia, bo nie! — zawołała Natalja, i spojrzała na brata.

— Jadzia? o nigdy! To złote jest serce! Dziecko z gruntu poczciwe! — pan Stanisław jakoś dziwnie pokraśniał, a po licu matki i siostry przemknął uśmiech lekki, pełen zadowolenia.

— Ale ciocia kazała mateczce powiedzieć — zaczął Staś po chwili — że już na trzy dni przed balem do X. pojedzie, i dopiero we trzy dni po balu wróci.

— Och, tak długo zabawi! — zawołała Natalja.

— Ma wizyty różne do oddania, sprawunki, i nie wiem co tam wszystko. Panie Ryszczyńskie równocześnie z nią pojadą i w jednym zamieszkają hotelu.

— To zresztą i dogadza — ozwała się matka — weźmiesz sobie krawczankę i każesz tam swoją zrobić sukienkę, mając wszystko pod ręką.

Nastąpiła teraz znowu długa pod tym względem narada, przy której pan Stanisław — jakkolwiek syn dobry i brat kochający, wszelako po parę razy ziewnął. To też aż otrząsł się raźniej, gdy nakoniec samowar wniesiono, i zakończyła się rozmowa o spodniczkach, aksamitkach, kwiatach, rękawiczkach i podobnych przyborach balowych.

Gdy w parę godzin później Staś żegnał matkę i siostrę, zapowiedział im: że jutro zaraz wbiegnie do Żołędzina, podziękuje w ich imieniu ciotce za jej przychylną dla Natalci pamięć, i oświadczy: że jej propozycya z wdzięcznością przyjętą została.

(C. d. n.)

SUMIENIE.

(Powiastka).

I.

W pięknym pałacu, w przepysznym i od złota lśniącym salonie, na względowiu oparty duma pan bogatych ziem, właściciel milionów, dostojnik, władzca, król samodzielny w swoim kraiku. Gdyby skinął tylko, na jego rozkazy staną szeregi podwładnych, i ugiąwszy z pokorą szyje swoje, czekać będą śmierci lub łaski. A pan w salonie swoim duma i duma już długo.

Bogate kandelabry błyszczą tylko swem złotem na tle ciemnego wieczoru, pan świec ich nie kazał zapalać. Ciemne kotary stojące dzień cały na straży przed złotemi promieńmi słońca, wstrzymują każde słowo figlarnych gwiazd rozsianych po niebie.

Pan ten nie może znosić światła. Ciemność potrzebna mu tak jak powietrze do życia. W każdym blasku natury słyszy on okropne jakieś słowa przemawiające do jego duszy. Ucieka przed niemi. Chroni się w cieniu, bo dość już nabłyszczał w jasności, aż mu ta jasność obrzydła.

Cisza pałac jego zaległa grobowa. Choć niespokojna żona tuląc w żalu i trwodze wyrywające się do ojca dziecię, pragnęłaby widzieć go chwilę — choć chwilę małą osłodzić mu ciężką, jak przypuszczała, chorobę duszy — on jak najsurowiej zakazał zbliżać się jej i synowi do swego salonu, bo on chce samotności — długiej spokojnej samotności. Od roku dręcząc się skrytem jakiemś cierpieniem, próbował głośnego i szumnego leku na swoją chorobę, ale i ten mu nie pomógł. Wyrzucił milion złota pomiędzy swoich przyjaciół, ale ci śmiesząc go tylko swemi wymuszonemi pociechy, obmierzli mu zupełnie i chorobę pogorszyli nawet. Więc uciekł ze świata. Zamknął się w ciemnicy i duma. Lekarstwa tego zażywa już dni kilkanaście, lecz i ono nie pomaga wcale. Pan cierpi, gniewa się i w namiętnem uniesieniu siebie, świat i wszystko przeklina.

Spojrzyjmy na jego oblicze. Duże i piękne niegdyś oczy błyszczą jakimś dogasającym ogniem — głębokie, zapadłe. Dziko z pośród marmurowo - białej twarzy wyglądając, patrzącego w nie, obaliłyby o ziemię. Włos posrebrzony na głowie; czy starość wypisała na nim swe imie? Nie. Pan ten zaledwie trzydzieści kila jesieni widział w swem życiu. To cierpienie starło wszelki połysk na nim. Zdmuchnęło czerstwy rumieniec twarzy, przygasiło ogień życia w oczach, posiwiło włosy. Usta zacięte słowem najdzikszej ironii, które ostatnie zapewne na nich postało.

Dźwignął się nareszcie pan ten z swego siedzenia i zadzwoniwszy kazał zapalić jednę tylko świecę przy sobie.

Rozkaz wykonano natychmiast. Oczom twoim ukazuje się jeszcze świetniejsze bogactwo salonu. Oblicze pana jeszcze dziksze.

Wysmukły i zwinny niegdyś, pochylił się cierpieniem ku ziemi, ku grobowi może. Silnemi jednakże jeszcze

kroki przechodzi się po komnacie. Ręce na piersiach złożone, oczy spuszczone w ziemię, włosy niedbale spadające na czoło.

Pan ten, posiada tytułów więcej, aniżeli jaki uniwersalny gieniusz stu towarzystw będący członkiem; posiada przyjaciół na każde zawołanie tylu, iżby ich w swym obszernym pałacu nie pomieścił. A przecież zapomniał o wszystkiem. Zwie się tylko dziś panem, choć służba jaśnie oświeconym nazywała go zwykle. *Pan* — to nazwisko tylko mu zostało. Despotycznego znaczenia to wyraz — tyrański w nim charakter.

Cóż *Pan* cierpi?

Pan — zrażony wypadkiem, zdarzeniem ot — przywidzeniem może, zaszłem przed rokiem w jego domu, o którem opowiemy po krótce — wyrzekł się świata — tytułów, przyjaciół — i wyrzekłby się życia, gdyby nie owa tajemna, nadziemska władza, przeznaczająca mu widać jeszcze chwil kilka życia, która wstrzymuje zawsze dłoń jego, ilekroć ta samobójstwem chciała się mu przysłużyć.

II.

Było to w kraju nieszczęśliwym, w kraju cierpiącym i to długo cierpiącym niedolę. Tej długiej niedoli nadeszła epoka krwawa, okropna. Kilku wyrodnych synów tego nieszczęsnego kraju sprowadziło na swych braci prześladowanie i mordy. Jedni martwotą serca swego, drudzy nienawiścią ku bliźnim odziedziczoną po przodkach, inni zaprzedaniem sumienia swego i najmem w służbę szatana.

Do trzecich należał *Pan*. I było mu dobrze, bardzo dobrze. Długo cieszył się szczęściem i złotem za sumienie kupionem. Długo dość był spokojnym. W gronie złotych przyjaciół układał gieniuszem swego dowcipu różne a nowe rodzaje tortur dla swych braci.

Ale — nadeszła wreszcie pierwsza chwila, w której *Pan* przypomniał sobie, iż tanio spieniężył swe sumienie. Zażądał dopłaty. Dano mu po raz pierwszy. I był wesoł znowu i spokojny.

Druga chwila była gorsza od pierwszej.

Bawił się z swoim jedynakiem, którego kochał, rozumie się dawną miłością — z czasów gdy jeszcze miał sumienie.

— Papa był wczoraj smutny, zaszczebiotało rozkoszne dziecię siedzące na kolanach *Pana*.

— Nie synu, odrzekł trochę zmięszany temi słowy, bo nigdy jeszcze syn jego doń tak nie przemawiał. Zdawało ci się.

— O nie papo — nie mów tego! kiedy mamcia czytała coś we francuzkiej gazecie o papie — widziałem tyś zadrżał...

Pan wstrząsł się. Dziecię szczebiotało dalej: I nie dziwota mój papo. Stu nowych ludzi zabito — krew musiała płynąć. O Boże — ja się krwi boję. A ty się boisz krwi — co? Papo! Stu wywieziono gdzieś tam w lodowate kraje. Tam zimno! Papo, jabym tam umarzł i tybyś tam umarzł; czy ty lubisz lodowate kraje — i krew?

— Bredzisz mój synu! jesteś słaby. Musisz iść do łóżka. A jak mi jeszcze będziesz kiedy tak gadał, to ci każę dać takie gorzkie lekarstwo, jakieś to już zażywał, co ci tak niesmakowało. Pamiętasz?

— Pamiętam papo; ale ja jestem zdrów. O ciebie się boję — o bardzo się boję, boś ty tak blady i tak ci drżą wargi kiedy mówisz.

Pan rzeczywiście był blady, słowa jego drżały konwulsyjnie: takie buntownicze dziecko było jego synem!

Odesłał dziecię do matki. Sam zażądał drugiej dopłaty za tanio sprzedane sumienie, dano mu ją. Lecz, z uwagą maleńkiej niecierpliwości kupca. Była to próba nie łaski.

Przyczyną tej niełaski było jego rodzone dziecię.

Rozmowa tak dziwnego rodzaju z jedynakiem zrobiła wrażenie na ojcu. Wrażenie to zdradzał on gniewem i szałem, w których utopić chciał pamięć słów syna.

Nie powiodło się. Złe to było lekarstwo. *Pan* zaczął prześladowanie nowe. Krwią sycił się lepiej. To skutkowało. Znowu był wesół i swobodny.

Nadeszła trzecia chwila: najokropniejsza. Zużycie. Zużyło się morderstwa i złoto. *Pan* zażądał dopłaty za sumienie ale już nie w złocie! Żądał monety takiej, jakiej nie posiadał jeszcze dotąd żaden bogaty tyran w swoich skarbnicach. Po raz trzeci zażądał spokoju i szczęścia! Odmówiono. Wtedy słyszałeś z jego serca zakamieniałego dobywający się ryk najdzikszej wściekłości zwierzęcia: Przekleństwo! Przekleństwo! zaryczał *Pan* okropnie — i zamknął się w ciemnym salonie.

Na świecie, w ojczyznie jego było lepiej...

Żona jego i syn jedynak płakali nad niedocieczonem usposobieniem ojca. Nikt nie mógł pojąć przyczyny okropnych cierpień jego. *Pan* cierpiał — i cierpiał bardzo wiele.

III.

I oto w strasznej chwili bólu i rozpaczy przechadza się po mdławo oświeconym salonie. Nagle zatrzymał się. Myśl jakaś nowa co się w głowie jego zrodziła, wstrząsła nim. *Pan* potarł czoło, zbliżył się szybciej do stołu, na którym leżał dzwonek — chwycił, go zadzwonił.

Służący wszedł.

— Przyprowadzić mi tu panicza i świece wszystkie pozapalać.

Natychmiast stało się, co kazał.

— Synu mój najdroższy, zawołał do wchodzącego dziecka, a drżącego z przestrachu. Czy tęskniłeś ty za mną?

— Nie, papo mój. Przyznam ci się iż ja nie tęskniłem, ani mamcia nie tęskniła za tobą, bo każde z nas boi się widzieć ciebie. Tyś taki straszny, jakbyś żałował okropnej, ale to bardzo okropnej zbrodni.

— Co ty mówisz dziecię? Zkąd ci takie straszne myśli przychodzą?

— A ja nie wiem zkąd one przychodzą; ale to wiem, że tu palą mię w głowie oddawna; czekaj papo, czekaj, jeszcze więcej ci powiedzieć każą. Ty papo umrzesz niezadługo.

— Tyś z piekłem zawarł związki mój synu!

— Nie papo, nie ja, to ty. Ja i mamcia modlimy się do Boga — a Bóg jest z nami. Ty zaś zaprzedałeś się piekłu, ani więc już nasza modlitwa tobie nie pomoże.

Pan spojrzał w śliczne oczy jedynaka, połyskujące jak gwiazdki na niebie w noc letnią — i zagryzł wargi i zatarł ze złości ręce i zawołał:

— To matka zbuntowała syna przeciw ojcu! Mamże jeszcze wątpić.

— Nie papo! ja się nawet gniewam nieraz na mamcię, gdy się za tobą ujmuje.

— Więc ty mnie nie kochasz?

— O już dawno bardzo. Gdyś pierwszą kroplę krwi twego brata wylał niewinnie i niesprawiedliwie, wzgardziłem tobą, i modliłem się do Boga, aby mię uwolnił od ciebie.

— Ja cię każę zamknąć do lochu! zaryczał wściekle roznamiętniony *Pan*, i tupiąc nogami groził pięścią jedynakowi.

— Każ; ja się nie przelęknę. Jeśli mi co zrobisz, to

chyba dla tego, że ja kocham moją ojczyznę, a za ojczyznę i umrzeć dla mnie rozkoszą!

— Ty i twoja matka zbuntowaliście się przeciw mnie! Ja sobie jednak dam radę! Precz z moich oczów.

— Papo! tak się rozstaje ojciec zdrajca z synem przywiązanym do swej ojczyzny — my się już nie zobaczymy! Szkoda żeś ty był mym ojcem. Ojca kochać nie mogłem, ale za to kraj mój kocham za siebie i za ciebie. Idę. Papo, gotuj się na śmierć.

— Precz! wołał zdumiony taką mową *Pan*. — Precz żmijo przeklęta. I wynieśli syna z salonu.

— Co to znaczy? rodzone moje dziecko nienawidzi mnie; przeklina mię! I ja niedołężny nic mu zrobić nie mogę. Nie?! Każę zamęczyć pałkami! To rzekłszy zbliża się do dzwonka chcąc zadzwonić, ale jakaś niewidzialna władza rękę jego wstrzymuje. I w duszy swej usłyszał głos okropny!

— Stój morderco! w imieniu wszystkich matek, których jęki o pomstę do Boga wołały za pomordowane im przez ciebie dziatki — przychodzę tu w godzinę śmierci twej, aby ci się rozśmiać szyderczem przebaczeniem w oczy!

— Kto wpuścił tutaj tę straszną kobietę... wołał konwulsyjnie rzucając się, i z obłędu nie wiedząc co się dzieje... krew na jej czole pali mię ogniem piekielnym, kto ją tu wpuścił?! Kto?! Ha to ty — ty synu wyrodny! precz z moich oczów, wołałem już na ciebie. Po coś tu jeszcze został! Ha, okropnie cierpię! I zakrył rękami obiema twarz trupio-wybladłą, i cisnął omdlałe ciało na sofę, a gdy po chwili przyszedł do siebie, nikogo nie widział w salonie. Zadzwonił. Wszedł sługa.

— Kogoście tu wpuścili bez mej wiedzy, łajdaki!

— Nikt tu nie był. *Pan* się zadumał, coś sobie przypominał i kazał słudze odejść. Więc Jej tu nie było? Była, oj była, i strasznie jej słowa paliły duszę moję. To wszystko zrobiła matka mego syna przez zazdrość, każę syna do lochu wtrącić, a matkę jego ściąć na palu. Idzie znów do stołu chcąc dzwonić, lecz i tą razą silniejsza jeszcze władza wstrzymała mu rękę.

— Nie masz już mocy nad niemi! wołała ta sama niewidzialna postać do jego duszy — oni zwyciężyli. Ty giniesz. Ty zabójco! Ty zdrajco słuchaj, wiesz czem jest serce i dusza twego jedynaka? Nie wiesz, ale ja ci powiem: Sumieniem.

— Ha! więc to sumienia głosy, zawył przeraźliwie *Pan*, sprzedam je — taniej niż wprzódy, aby się wyrzec tych tortur.

— Zapóźno morderco! Nikt ci za twoje sumienie nie da nic — oto patrz, zbliża się koniec twój.

Okropne rzeczy widział w tej chwili *Pan*. Tysiące osób cisnęło się do jego salonu. Wszyscy z krwią na czole lub na rękach, lub na piersi. Wszyscy mściciele niewinnych ofiar straconych z jego rozkazu. Napróżno chce krzyczeć na sługi, głosu nie może wydobyć z piersi — napróżno chce zakląć o litość swoich prześladowców, oni uprzedzając jego zaklęcia, wołają nań: Nie miałeś nigdy nad nami litości, nie żądaj litości od nas. Ty zginiesz!

— Nie zginę, nie zginę, krzyczał przeraźliwym głosem. Was jędze przeklęte każę drugi raz zamordować. Wyrzucić ich, wyrzucić ją — straszną, okropną — służba! A chociaż na pół konającym głosem te słowa wypowiedział, zbiegła się służba do niego.

— Wyrzucić wszystkich, pocoście ich wpuszczali.

— Tu nie ma nikogo.

— Nikogo? Idźcie precz! Odeszli. O jakież to męki ja cierpię. Czemuż nie zabiłem *jej* do szczętu, czemu nie kazałem wymordować wszystkich *jej* dzieci, byłbym teraz spokojnym. Ha! trudno; jeszcze czas.

— Nie czas panie bracie, nie! odezwał się jakiś głos znajomy; ale odezwał się w duszy *Pana*, w pokoju nie było nikogo. To ty?! krzyknął trwożliwy *Pan*, ty Najja... w mym domu?

— A czy wiesz poco przychodzę? Oto patrz.— Tłum wesołych rozkoszą i wolnością młodzieńców, strojnych i zbrojnych narodowo ukazał się *Panu*. Głos zaś rzekł do nich, Nie ja, ale ten zawinił! Ten! zakrzykli młodzi. To nasz brat.

— Brat! pochwycił *Pan* błagając o litość. Lecz wszystko napróżno — sto szabel zabłysło, i wszystkie ugodziły w pierś — zdrajcy. Jęknął *Pan* wtedy tak okropnie, iż żona i syn i służba zbiegli się do jego salonu, i zastali na ziemi rozciągniętego — trupa.

W salonie nikogo przedtem nie było.

⊙

(D). Wieczorem w wilią ś. Jana niebo posmutniało chmurami i grzmiało rozpaczą, i Polki nasze były smutne, a prawie żaden wianek Wisłą niepopłynął. Nim się jednak burza rozpoczęła, mnóstwo osób zalegało brzegi Wisły. Większa zaś część mężczyzn ubraną była w narodowych strojach. Drugi wieczór także nie z dawnych lat uciechą się odbył i nie ze zwykłą uroczystością pamiątki tej naszej narodowej. Bo trudno maić sobie domy, sobótki przeskakiwać i puszczać wianek dla szczęścia w zamęzciu, gdy dusza nasza ubrana w żałobę, a sobótki dla nas chyba na Powązkach, gdzie po nad grobami świecą anielskie dusze męczenników, dla których już nie popłyną zielone tu wianki.

Mało więc było osób, mało i wianków, nie deszcz sam tego przyczyną.

Do panienki niedaleko mnie stojącej nad brzegiem, zbliżył się jakiś młodzieniec w narodowym stroju: Pani puszcza wianek? zapytał, trochę może z wyrzutem. — „Tak, lecz nie z myrtu i ruty go wiłam, nie jasną wstążką okręciłam, ale patrz pan, z skromnej naszej płaczącej wierzby nadwiślańskiej, a związany taśmą czarną. Płyń wianku, płyń dalej na północ, dodała wianek puszczając, może wpłyniesz gdzie na świętą głowę jakiego z braci naszych do Wisły wrzuconych.“ Ona jedna wyręczyła was siostry, i ona tylko przy tej pamiątce wyręczyć was mogła.

Śliczna i poetyczna ta nasza narodowa pamiątka, ale poezyą teraz dla nas chyba skargi Jeremiego i Psalmy, a uroczystością narodową to już sam ból krwawego męztwa i tęsknota z nadzieją, że ochrzci nam jeszcze wodę Jan Chrzciciel i wianki po niej popłyną.

Korespondencya od Redakcyi.

Wnej Eleonorze Tocz... w Podleszanach. Względem reklamacyi o mody z przeszłego kwartalu, prosimy o bliższe wywiedzenie się we własnej miejscowej poczcie, ponieważ ekspedycya ztąd najregularniej odeszła.

— JW. Jen. Z. w Jas... Należytość aż do końca b. r. uiszczona.

Do tego numeru dołączamy mody za miesiąc lipiec — a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

INSERAT.

Po najumiarkowańszych cenach!!! ma zaszczyt niżej podpisana polecić się *z najstaranniejszem wykończeniem sukien damskich, mantyl, zarzutek, płaszczów itp.* z powierzonych jej materyj, podług najnowszej mody; tudzież najnowszych gorsetów z dogodności słynnych *z zastósowaniem wydoskonalonej metody francuskiej*, której naukę od samejże autorki pobierała, a której gruntowność w tem się okazuje, iż biorąc miarę francuskim centimetrem, uprzednio tak dokładna rysować się daje na formach figura geometryczna każdej budowie ciała odpowiednia, że fałszywe skrojenie już nawet niemożliwem się staje.

CELESTYNA CHMIELEWSKA,

w Krakowie, tymczasowo przy ulicy Szewskiej, w przedostatniej ku plantom kamienicy Nr. $230/_{342}$ na widermachu II piętro, zaś od św. Jana przy ulicy Szewskiej w narożnej od plantów kamienicy Nr. $219/_{323}$ I piętro od frontu. (2—3)

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**